

Gdzie jest ta dziewczyna ze starej fotografii? – pomyślał, spoglądając po przebudzeniu na zdjęcie w skórzanej oprawce, które stało na regale uginającym się pod ciężarem zakurzonych książek, pośród sterty porzrzuconych płyt, opróżnionych butelek i porozbijanych kieliszków. Małe zdjęcie wyróżniało się bijącą z niego jasnością, która kontrastowała z szarą otoczką regału pokrytego warstwą kurzu.

Zamknął oczy i próbował ponownie zasnąć, lecz na próżno, w jego głowie panował potworny chaos i niesamowity mętlik. Zaczął w myślach analizować wczorajszy dzień, który nie różnił się od poprzednich i był podobny do kilku, a może już kilkunastu dni, z których pamiętał tylko fragmenty.

– Co się wczoraj działo?! – powiedział mocno zachrypniętym głosem.

Mówienie sprawiło mu ból, tak samo jak echo wypowiedzianych słów, dudniące w jego uszach. Głowa pękała mu od środka. Wyobraził w niej sobie dwumetrowego, potężnie zbudowanego i zalanego potem Murzyna, uderzającego ogromnym młotem w wielkie kowadło. Odgłos tych uderzeń dźwięczał nieprzyjemnie w jego uszach. Jego wyobraźnia wyostrzyła się na tyle, że ujrzał w tej chwili przed zamkniętymi oczami dziewiętnastowieczną kuźnię, w której oprócz czarnoskórego kowala, tuż przy buchającym dymem, rozżarzoną palenisku, siedział kilkuletni chłopiec. Mały Murzynek wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w żarzące się iskry, tryskające i opadające tuż przy malcu, który nic z tego sobie nie robił i drucianą szczotką zeskrobywał zgorzeliwą z chropowatej powierzchni metalowego przedmiotu. Widząc oczami wyobraźni malca, zapewne niewidomego, trącego szczotką o metal, poczuł jednocześnie w gardle drapiące pieczenie, palące przelyk.

Otworzył oczy i spojrzał na sufit, który zamazywał się i pokrywał poruszającymi się czarnymi kropkami. Przestraszył się i ponownie zamknął oczy. W tym momencie na całym ciele poczuł swędzenie. Miał wrażenie, jakby w tej chwili znalazł się w samym środku wielkiego kopca z miliardem rozwścieczonych mrówek, które wgrzyzały się w jego ciało. Ponownie podniósł powieki i spojrzał na tym razem biały jak śnieg sufit. Nie było na nim nic oprócz haka na worek treningowy. Mrowienie z lekka ustąpiło, ale też poczuł przechodzący go od stóp po głowę przeraźliwy chłód, który z sekundy na sekundę przeradzał się w ogarniający go mróz.

Chciał wstać, ale jego członki były całkowicie zeszywniałe i mimo wysiłku mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Mrowienie na całym ciele i przechodzące go dreszcze cały czas się wzmagaly. W głowie cały czas słyszał rytmiczne uderzenia stykającego się z kowadłem młota, w gardle czuł bezustanne pieczenie, pocierane drucianą szczotką. Chciał krzyknąć, ale otworzył tylko usta, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Z jego gardła wydobył się tylko przeciągły syk, rozchodzący się wśród panującej ciszy.

Spod na wpół otwartych powiek popłynęły łzy. Otworzył szerzej oczy, słysząc szmer. Poruszył z trudem głową, przekręcając ją na bok. Przed jego oczami ukazała się postać, choć nie stara, to jednak zgarbiona, ze szpetną, pełną zadrapań i ropiejących krost twarzą. Odrażająca twarz wpatrywała się, mrugając rytmicznie powiekami i uśmiechając się zamkniętymi ustami.

Ponownie przymknął powieki. Przypomniwał sobie, jak po raz pierwszy zobaczył tego budzącego odrazę człowieka. Było to przed kilkoma dniami, kiedy to w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach znalazł się po jednej z wielu imprez w izbie wytrzeźwień.

Była to biała, wysoka i przestronna sala, z dziesięcioma łózkami ustawionymi w dwóch rzędach. Na łóżku najbliżej drzwi leżał młody, może dwudziestoletni chłopak, skrępowany za ręce i nogi pasami, przypiętymi do metalowej podstawy łóżka. Po jego dziecięcej twarzy spływały łzy, szlochał i wołał mamę, łkając płaczącym głosem:

– Ma-ma... Mamusiusiu! Ma... ma... ma... Maaamoo!
Mmmmm mmaaaamuusiuuu!!!!!!

Oprócz niego było jeszcze czterech gości przymusowego i wcale nie taniego hoteliku. Jeden z nich leżał tuż obok szlochającego chłopca. Musiał mieć ponad dwa metry wzrostu, gdyż jego stopy wystawały poza wąskie łóżko. Na twardej pryczy obok śpiącego olbrzyma siedział dobrze zbudowany trzydziestolatek z krótko przystrzyżoną gęstą czupryną czarnych, kręconych włosów. Wpatrywał się w swojego ogromnego sąsiada, robiąc przy tym maślane oczy; wysuwał co chwilę język, głośno cmokając ustami. Nachylał się co jakiś czas i wypiełgnowaną dłonią głaskał go po długich, tłustych włosach i wielkich rękach z przybrudzonymi paznokciami.

Dwa pozostałe łóżka w tym rzędzie były puste.

W rzędzie obok zakratowanych okien leżał nasz bohater, a na oddalonym od niego o około półtora metra łóżku, sądząc po dokładnie wypiełgnowanych paznokciach, krótko przystrzyżonej bródce i utlenionych włosach, przyjaciel trzydziestolatka, któremu spodobał się olbrzym.

Nasz bohater leżał nieruchomo na wznak, wpatrując się w sufit; próbował sobie przypomnieć okoliczności, w jakich się znalazł, trafiając w to właśnie miejsce. Kiedy jednak jego pamięć zawodziła na całej linii, nie mogąc wrócić do historii sprzed kilkunastu godzin, przekreślił głowę na bok i skierował wzrok w stronę płaczącego młodego adepta alkoholowych fascynacji. Uniósł lewą rękę i przetarł dłonią zaropiałe, podkrążone oczy. To, co ujrzał, wprawiło go w osłupienie, a po całym ciele przeszedł mu dreszcz.

Przy drzwiach stał niski mężczyzna, budzący w nim lęk i odrazę. Miał rzadkie i przetłuszczzone włosy, opadające na wyłupiaste, przekrwione i podkrążone oczy, w kolorze jasnego, błękitnego nieba. Jego twarz pokryta była rozdrapanymi i ropiejącymi krostami. Był chudy i zgarbiony. Ubrany w czarną marynarkę i spodnie w tym samym kolorze. Buty błyszczały świeżo wypastowaną skórą i były zapewne przynajmniej o dwa numery za duże. Odznaczały się swoją wielkością, przy jego chudych jak patyki nogach, obciśniętych wąskimi nogawkami czarnych dżinsowych spodni. Czarny golf przylegał do ciała i zakrywał długą szyję, marynarka zaś wisiała na nim jak na wieszaku.

Budząca odrazę przygarbiona postać powolnym ruchem ręki na-

woływała do siebie naszego bohatera, który nieustannie przecierał oczy, wpatrując się cały czas w okropnie wyglądającego osobnika. Ten w pewnym momencie przykucnął i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki półlitrową butelkę wódki. Przytulił ją do piersi, głaszcząc ją tak, jak małe dziecko tuli do siebie pluszową zabawkę.

Nasz bohater, oszołomiony i wystraszony tym wszystkim, co zobaczył, odwrócił głowę i zamknął oczy, nakrywając twarz szorstkim kocem. Zasnął.

Obudziły go głośnie krzyki i szamotanina. Zsunął z głowy obie-
ma rękami drapiący go szorstki koc i spojrział w bok, wspierając się na łokciach. W tym czasie, tuż obok niego, długowłosa mężczyzna okładał z całych sił wielkimi pięściami adoratora o odmiennej orientacji seksualnej. Niedoszły cichy amator przygodnych znajomości odbijał się od zaciśniętych, wielkich pięści olbrzyma jak słomiana kukła targana powiewami rozszalałego huraganu.

W tym czasie przywiązany do łóżka młokos próbował za wszelką cenę uwolnić się z nałożonych mu więzów i darł się na całe gardło.

– Pomocy!!! Morduja!!! Mam!!! Mamusiu!!! Ratuj!!!!!!!

Natomiast przyjaciel „słomianej kukły” w ogóle się tym zdarzeniem nie przejmował. Stał przed zakratowanym oknem, wpatrując się w swoje ledwo dostrzegalne odbicie. Obiema rękami gładził włosy, błyszczące się od nadmiernej ilości żelu. Otwierając i zamykając usta, wysuwał do przodu język, oblizując śnieżnobiałe uzębienie

Po krótkiej chwili do pomieszczenia wpadli jak tornado trzej sanitariusze, rzucając się na wielkiego draba. Umiejętnie, choć nie bez problemu unieruchamiając go, posługując się przy tym perfekcyjną techniką, nałożyli na niego kaftan bezpieczeństwa.

Pobity gej oparł się o ścianę i osunął, siadając na podłodze. Siedział obolały i pojękiwał jak mały szczeniak, który nie może się dopchać do sutka swojej matki. Twarz jego zmieniała się w mgnieniu oka i nabierała fioletowych kolorów. Nos zaczął przypominać piłkę do baseballu, oczy w krótkiej chwili zapuchły mu tak, że praktycznie nie było ich widać. Przez nabrzmiałe i opuchnięte wargi wypłynęły dwa przednie zęby i z ust ciurkiem popłynęła mu krew. Po chwili osunął się całkowicie na podłogę, uderzając głową o twardą posadz-

kę, wyłożoną jasnoniebieskimi płytkami. Wokół niego rozlewała się coraz większa kałuża krwi.

Nasz bohater szukał wzrokiem po sali dziwnej postaci, lecz nigdzie nie mógł dojrzeć okropnego osobnika, który ulotnił się jak kamfora z tego niechlubnego miejsca.

Teraz leżał w swoim łóżku i patrzył na nieproszonego gościa, który usiadł w fotelu, wyciągając z rękawa marynarki półlitrową butelkę z przezroczystym płynem. Postawił ją na niskiej ławie, rozglądając się po całym pokoju. W pewnym momencie wstał i podszedł do szerokiego regału z książkami, na którym, obok zbroszowanych arkuszy papieru, stały dwa nienaruszone kieliszki, pośród porozbijanego szkła. Wziął je i przetarł wewnętrzną częścią poły marynarki, po czym postawił oczyszczone pięćdziesięciogramowe miarki obok butelki pełnej bezbarwnego, wysokoprocentowego płynu. Usiadł z powrotem w fotelu i sięgnął prawą ręką po butelkę, którą w okamgnieniu odkręcił i ze sprawnością barmana napełnił zawartym w niej płynem oba kieliszki.

– Napijmy się – powiedział nieznajomy o szpetnej twarzy. – Klin będzie miał teraz dla ciebie zbawienne działanie.

Kim, u licha, jest ten człowiek? – zastanawiał się, przerzucając wzrok z pełnego kieliszka na szpetną twarz nieznajomego. Co on tutaj robi? Jak wszedł do mojego mieszkania? Może przysłał go Darbi, przecież wiedział, że będę miał kaca i nikomu, kto zaproponuje mi kielicha, nie odmówię. Pytania w jego głowie się mnożyły. Wreszcie zadał sobie ostatnie z nich: Może ja nie żyję i witam się właśnie z Diabłem!? W piekle???

– Żyjesz! Umarłemu nie proponowałbym napicia się ze mną wódki.

– Czytasz w moich myślach?

– Nie muszę niczego czytać w twojej głowie. Znam doskonale twoje wnętrze, wiem o tobie dosłownie wszystko. Twoja osoba nie kryje przede mną żadnych tajemnic, choć jestem przekonany, że ty sam o sobie wiesz niewiele. Może nasze spotkanie pozwoli ci popatrzeć na siebie samego z pozycji biernego widza, choć efekt końcowy może okazać się fatalny, wręcz tragiczny.

Mówiąc słowo „tragiczny” spojrział mu prosto w oczy, milknąc na krótką chwilę, po czym znów zwrócił się do podpartego na łokciu, pośród zmierzwionej pościeli, całkowicie zaskoczonego i zdezorientowanego całą sytuacją człowieka, który miał wrażenie, że znalazł się w obiektywie ukrytej kamery.

– Nie mam czasu na opowiadanie ci szczegółów, skąd się tutaj wzięłem i dlaczego będę chciał ci męczyć wnikliwymi pytaniami.

Zrobił krótką pauzę, drapiąc przerzedzone i tłuste włosy, po czym kontynuował swój monolog:

– Będziesz jednak miał możliwość przeżycia czegoś, co wpłynie na twój dalszy byt, ale powtarzam, kiedy stąd wyjdę, twoje dalsze życie zostanie w twoich rękach. Dokładnie zapamiętaj moje słowa: tylko i wyłącznie w twoich rękach. I jeszcze jedno, powiedziałem, że spojrzysz na siebie jako bierny widz. Tak do końca nie będziesz bierny.

Patrzyli na siebie przez około minutę, milcząc i nie spuszczając z siebie wzroku. Pierwszy tę ciszę przerwał nieproszony gość, który przemówił lekko zachrypniętym głosem:

– Rusz wreszcie te swoje zastygłe kości i siadaj ze mną przy tej oto butelce! – mówiąc słowo „butelka” przymrużył nieznacznie powieki, marszcząc przy tym czoło. – 24.12.1970. Ta data jest moją wyrocznią i niestety przeklętym dla mnie dniem – Donaldzie!!!

– Ha, ha, ha! – uśmiechnął się, marszcząc czoło, ukazując jednocześnie grymas bólu na twarzy. Wsparł się na rękach, siadając na łóżku wśród rozbebeszonej pościeli. Otarł rękami twarz. Położył dłonie na kolanach i wykrzywiając usta, odezwał się zachrypłym głosem

– Znasz moje imię i datę urodzin. Uważasz się przez to za jakiegoś wszechwiedzącego mesjasza, który wtargnął przez nikogo nieproszony do mojego domu i chcesz pewnie przeprowadzić ze mną poważną rozmowę?! – nabrał w płuca głęboki wdech, rozglądając się po pokoju. – Spójrz na półkę, z której przed chwilą brałeś kieliszki – wskazał nieznacznym ruchem głowy miejsce, o którym mówił. – Tam przecież leżą moje dokumenty, które pewnie dokładnie przeglądałeś podczas mojego snu. To, jak tutaj wszedłeś, wcale mnie nie zastanawia. Zwykle moje drzwi nie są zamknięte na klucz.

Zrobił krótką przerwę, łapiąc ciężko oddech, po czym spojrzał na szpetną twarz swojego gościa siedzącego wygodnie na fotelu.

Czekał przez chwilę na jakąkolwiek odpowiedź na te z trudem wypowiedziane słowa. Lecz nieznamy milczał, patrząc na leżące dokumenty. Wstał po chwili i podszedł do wskazanego przed chwilą miejsca. Stał teraz przygarbiony i wpatrywał się w laminowane druki, mrużąc małe, zamglone oczy. Odłożył je po chwili na to samo miejsce i wrócił, siadając wygodnie w miękkim fotelu z lotniczym oparciem.

Donaldowi mieszały się w głowie kilkudniowe wspomnienia. Próbował usilnie przypomnieć sobie, czy poza kilkunastosekundowym spotkaniem w izbie wytrzeźwień nie natknął się jeszcze gdzieś na tego człowieka. Nic jednak nie mógł skojarzyć z tą oto tu siedzącą postacią, której twarz przypominała mu szczurzy pysk, o powiększonych kształtach. Przestał jednak zaprzętać sobie głowę, daremnie wyęzając szare komórki, bo ten wysiłek i tak nie przynosił oczekiwanego rezultatu. Podniósł się nie bez trudu, poprawiając luźne bokserki i usiadł na fotelu, spoglądając na wypełnione kieliszki i stojącą między nimi półlitrową butelkę. Uświadomił sobie, że po cóż się w tej chwili zastanawiać, skąd się wziął tutaj ten facet; ważne, że nie przyszedł z pustymi rękami. Sięgnął drżącą dłonią po stojący kieliszek i niezdarnie uniósł go w górę. Ręka jego jednak niesamowicie drżała i zachowywała się, jakby dźwigała kilkudziesięciokilogramową hantle, a nie pięćdziesięciogramowy kieliszek. W jednej chwili dostawił drugą dłoń do wartościowego w tej chwili ciężaru i obiema rękami podniósł kieliszek do ust, wlewając w siebie płyn, który był teraz dla niego najważniejszy.

Nieznamy po raz wtóry nalał płyn – dobry na całe zło, jak często wypowiadał się na temat wódki Donald. Patrzył teraz na powiększającą się zawartość obu kieliszków i czuł wzmagającą się chęć powtórnego sięgnięcia i jak najszybszego napicia się, właśnie w tej chwili. Jego dłonie drżały nieustannie, więc teraz nie zaryzykował podniesienia kieliszka w jednej ręce i tym razem obiema rękami chwycił pięćdziesiątkę, by nie uronić ani kropli. Szybkim ruchem podniósł pełne szkło do ust i wypił całą zawartość, wykrzywiając twarz. Alkohol przyjemnie zaczął krążyć w jego żyłach.

Uczucie oblegających go mrówek powoli ustępowało. To samo było z czarnoskórym kowalem i jego małym pomocnikiem, obaj widocznie byli dostatecznie wyczerpani swoją pracą i zarówno odgłosy uderzeń młota o kowadło, jak i tarcie drucianej szczotki o chropowatą zgorzelinę straciło na swojej wcześniejszej sile.

Donald zamknął oczy, z nadzieją, że gdy otworzy je ponownie, w pokoju nie będzie już nikogo, oprócz niego samego. Nie podnosił w górę powiek przez około dziesięć sekund, a w tym czasie przez głowę przeszła mu zatrważająca myśl – może to *delirium tremens*!?

Otworzył oczy i spojrzął na uśmiechającą się do niego szurzącą twarz nieznanego i nieproszonego gościa. Kieliszki w tym czasie napełnione zostały po raz trzeci. Tym razem już jedną ręką sięgnął po wypełnione po brzegi naczynie. Uniósł je lekko i zamaszystym ruchem doświadczonego pijaka napił się po raz kolejny. To jednak okazało się złym posunięciem, jak na tak krótki odstęp czasu, w którym wypijał kolejne porcje serwowanego alkoholu. Co prawda pierwsze zetknięcie płynu z jego podniebieniem nie wskazywało na późniejsze oplakane skutki. Po kilku sekundach poczuł w gardle napływającą gęstą ślinę, kłębiącą się w jego ustach, i słodko-gorzki smak na podniebieniu. Podniósł się energicznie z fotela i szybkim krokiem skierował się do ubikacji. Prawą rękę trzymał na brzuchu, zaś lewą przyciskał do zamkniętych ust. Przebiegł przez wąski korytarz swojego mieszkania, wpatrując się w białe drzwi z nadzieją i utęsknieniem.

W tym czasie jegomość, który zawitał do niego z lekarstwem mającym być wyzwoleniem z udręki psychiczno-fizycznych mąk ciała i duszy, siedział sobie wygodnie w fotelu. Wpatrywał się w okno zasłonięte granatową zasłoną, przez którą przebijały się poranne promienie słoneczne. Jego twarz była całkowicie nieruchoma i gdyby nie mrugnięcia powiek, to można by powiedzieć, że jest kamiennym posągim.

Tymczasem Donald dobiegł do celu, chwytając prawą ręką za klamkę. Nie zdążył jednak otworzyć drzwi i zwymiotował na dywan. Przez następne kilka minut kłęzczał nad sedesem, wyrzucając z siebie całą zawartość żołądka. Wreszcie wstał wyczerpany i zmęczony jak po ciężkiej fizycznej pracy. Następnie spuścił kil-

kakrotnie wodę, wpatrując się w strumienie cieczy, lejącej się po ściankach wysłużonego kibla. W końcu pozostawił spłuczkę w spokoju i otworzył drzwi obok, wchodząc do łazienki, gdzie przez kilka minut szorował zęby, cały czas odpluwając gromadzącą się mu w ustach gęstą ślinę. Mycie zębów i przemycie twarzy zimną wodą dodały mu animuszu i lekkiego odprężenia. Jednak przypomniał sobie o wymiocinach na dywanie przed drzwiami ubikacji.

Kilka następnych minut spędził na kłęczkach, szorując twardą gąbką zarzygany dywan. W ogóle nie wykazywał żadnych emocji, robił to wszystko jak zaprogramowana maszyna, która jest skazana na wykonywanie stałych czynności.

W końcu wrócił obolały, trzymając się obiema rękami za brzuch. Opadł ciężko na fotel, łapiąc głębokie oddechy. Uniósł wreszcie zwieszoną głowę i spojrzał na wciąż nieruchomą postać naprzeciwko.

– Nie miałem już czym rzygać. Wypłułem przy okazji z siebie całą żółć – powiedział ochryplym głosem, patrząc w zmrużone oczy swojego gościa, który widocznie zrobił się senny i znużony, choć nie zaskoczony zachowaniem Donalda.

– Ból fizyczny szybko przechodzi, więc niech to będzie twoim pocieszeniem – odpowiedział mu, otwierając szeroko oczy. – Jak spałeś, był tutaj listonosz, z poleconym listem. Bardzo niechętnie, ale jednak zgodził się oddać mi tę przesyłkę. Wmówiłem mu, że jestem twoim bliskim przyjacielem, a w tej chwili wspomagam cię moją osobą – mówiąc to, podał mu białą kopertę.

Donald spojrzał na wyciągniętą rękę, w której znajdowała się owa przesyłka. Sięgnął po nią wciąż drżącą ręką i przyglądał się jej przez krótką chwilę. Obracał kilkakrotnie gładki papier, jakby chciał opóźnić moment otwarcia wiadomości, która znajdowała się w środku zaklejonej koperty. Wreszcie skończył bezsensowną celebrację i rozszarpał ją drżącymi rękami. Wyciągnął po chwili złożoną kartkę papieru formatu A4, którą rozłożył nieustannie drżącymi dłońmi. Wpatrywał się następnie w zadrukowaną drobną czcionką stronę. Przez niespełną minutę patrzył tępym wzrokiem w tekst, po czym zmiął w prawej dłoni przeczytany list i rzucił papierową kulkę w kierunku porozrzucanych ubrań, leżących obok łóżka.

Zmięty papier potoczył się po dywanie i zatrzymał przy nogawce dżinsowych spodni.

– Ładny prezent świąteczno-urodzinowy, dostarczony mi przez niezawodną pocztę! – spojrzał na swojego gościa, oczekując pocieszenia, którego w żaden sposób nie wyrażała wstrętna twarz. Zamiast tego ukazał się na niej lekki grymas bólu zmieszany z ironicznym uśmiechem. – Dostałem właśnie zwolnienie dyscyplinarne – powiedział spokojnym, choć lekko drżącym głosem. Spojrzał następnie na stojącą na stole butelkę wódki. – Nalej, proszę, wódka jest dobra na wszystko – mówiąc to spuścił wzrok, przenosząc go następnie na zwiniętą kartkę papieru.

W ciągu niespełna pół godziny wypili całą zawartość półlitrowej butelki, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Palili papierosy, patrząc sobie w oczy, uśmiechając się przy tym nieznacznie. Donald próbował w jakiś sposób przeniknąć swojego gościa, doznając przy tym wrażenia, że zna tego człowieka od dziecka, choć z drugiej strony, był niemal pewny, że pierwszy raz zobaczył go kilka dni temu w izbie wytrzeźwień.

Po wypiciu ostatniej porcji alkoholu spojrzeli na siebie ponownie. Wymieniając nieznaczne uśmiechy, obaj wstali i pierwszy przerwał tę ciszę Donald, którego samopoczucie psychiczne, jak i fizyczne pod wpływem wypitego płynu znacznie się poprawiło

– Zrobię coś do jedzenia. Ja przynajmniej jestem głodny i mam ochotę na jajecznicę, więc zapraszam również ciebie.

– Owszem, jestem głodny, ale najpierw pójdę zaopatrzyć nas w jeszcze jedną butelkę. Ta, którą wypiliśmy, nie odkryła przed nami oczekiwanych doznań.

Donald nie zwrócił uwagi na dziwne spojrzenie gościa przy wypowiedzianych przez niego słowach. Wytlumaczył mu tylko, gdzie znajduje się pobliski sklep, i zamknął za nim drzwi. Sam zaś poszedł do kuchni, zapominając o przesyłce, jaką otrzymał przed kilkudziesięcioma minutami. Otworzył lodówkę, w której nie było niczego oprócz dwóch puszek z piwem, pojemnika pełnego jajek i kostki masła. Jajka lubił w każdej postaci, ale jednak jajecznica na maśle to było to, co najbardziej mu smakowało, i to nie ze względu na jej smak, tylko na prostotę i łatwość przyrządzenia tej potra-

wy. Wyciągnął potrzebne mu składniki, zresztą jedyne, jakie w tej chwili znajdowały się w lodówce. Ułożył je na metalowej tacy, obok gazowej kuchenki. Przy pomocy elektrycznej zapalniczki odpalił gaz i postawił patelnię na palącym się palniku. Wrzucił następnie twardy kawałek masła na rozgrzaną blachę, po której rozpląwał się żółty tłuszcz. Wbił jajka na rozgrzane do odpowiedniej temperatury masło i mieszając je drewnianym widelcem, doprowadził jajka do lekkiego ścięcia, po czym zakręcił plastikowym kurkiem dopływ gazu. Przełożył gotową potrawę na dwa talerze, doprawiając obie porcje odrobiną soli. Przy talerzach z parującą jajecznicą postawił dwie schłodzone puszki piwa i podszedł do okna, podciągając zasłonięte żaluzje.

Za oknem roztaczała się zimowa aura, padał pierwszy śnieg tej zimy. Właśnie zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Choć wypita wódka dodała mu chwilowej otuchy, to jednak poczuł smutek, spoglądając na spadające płatki śniegu. Na pobliskim skwerku gromada roześmianych i zmarzniętych dzieciaków lepiła bałwana, tarzając się przy tym w miękkim puchu. Tymczasem po chodniku szedł zgarbiony staruszek, ciągnący drewniane sanki, na których wiozł świeżo ściętą jodłę. Kilkanaście metrów dalej trzech nastoletnich wyrostków stało bezczynnie, przestępując z nogi na nogę. W pewnym momencie jeden z nich wyciągnął przed siebie rękę, pokazując wskazującym palcem wolno idącego starszego człowieka. W jednej chwili cała trójka nachyliła się, lepiąc śnieżne gałki. Kilka sekund później rozpoczęło się bombardowanie śnieżnymi pociskami wolno człapiącego po miękkim śniegu staruszka ze świątecznym drzewkiem na drewnianych sankach.

Donald doznał dziwnego uczucia lęku o nieznanego mu przecież człowieka. Wpatrywał się w całe to zdarzenie, czując w sobie zimne uderzenia kołającego serca. Tym czasem większość piguł lądowała obok wybranego celu, ale w odstępie kilku sekund dwie z nich doleciały do wyznaczonego ruchomego punktu. Jedna ze śnieżnych gałek trafiła staruszka w głowę, zrzucając mu na pokryty śniegiem chodnik futrzaną czapkę i odkrywając łysą jak kolano głowę. Starzec nachylił się powoli i podniósł prawą ręką nakrycie głowy. Jego lewa ręka w tym czasie zatrzymała się w okolicach kręgow

łędźwiowych, opierając się na kręgosłupie. Dało się z łatwością zauważyć, ile trudu sprawiło mu nachylenie się i podniesienie czapki. Gdy już to jednak uczynił, wykrzywiając twarz w grymasie bólu, druga piguła trafiła go w sam środek głowy. Rozległ się w tej chwili gromki śmiech rozradowanych nastolatków. Obok przechodziło wiele osób, nie zwracających uwagi na całe to zdarzenie, zajętych świątecznymi zakupami. No bo cóż mógł ich obchodzić ten starowina ze świątecznym drzewkiem na sankach, skoro ważniejszy dla nich w tej chwili był wigilijny karp i zawartość domowego barku na dwa świąteczne dni. Z drugiej jednak strony to może się cieszyli, że trójka znudzonych wyrostków wybrała właśnie jego na cel, a nie ich.

Patrzący na to wszystko Donald czuł smutek i zażenowanie. Zastanawiał się, dla kogo ten człowiek ciągnął tę choinkę. Może ma wnuki w wieku tych szczeniaków, które teraz w innej części miasta być może kradną radia z samochodów.

– Co to za kurewsko popierdolone życie – powiedział głośno do samego siebie, siadając przy stygnącym posiłku.

Zjadł sam śniadanie i wypił piwo bezpośrednio z puszki. Wypalił też kolejno jeden po drugim dwa papierosy, a jego nowy znajomy się nie pojawiał. Donald zastanawiał się przez ten czas, kim był ten człowiek, którego znał zaledwie od kilkudziesięciu minut. Czuł jednak do niego jakąś ukrytą sympatię i wieloletnie przywiązanie. Choć nieznanemu gość był cały czas tajemniczy, to jednak jego wizyta nie była na pewno przypadkowa. Samo to, że wypicie jednej butelki wódki okazało się niewystarczające do odkrycia powodu jego przybycia. Ale z drugiej strony na to patrząc, sam się zbytnio nie dopytywał nieznanego o cel jego odwiedzin, choć w tej chwili jego ciekawość sięgała zenitu.

Postanowił pójść za nim i jak najszybciej to wszystko wyjaśnić. Wstał energicznie z drewnianego taboretu i podszedł do trzydrzwiowej szafy w przedpokoju. Stał przed tą samą szafą, w której to chował się, gdy był małym chłopcem, szukając wśród ciemności bajkowych przygód. Sam nie wiedział, dlaczego właśnie teraz naszły go akurat te właśnie wspomnienia, ale też nie zaprzętał sobie tym zbytnio głowy. Przekręcił wystający z zamka klucz

i pociągnął za niego drzwi dębowej szafy. Wyciągnął w pośpiechu potrzebne mu ubranie, zrzucając na podłogę upchaną na półkach garderobę. Włożył na siebie spodnie z jasnego sztruksu. Były trochę pomięte, lecz nie zwracał teraz na to zbytnej uwagi. Wciągnął bawełnianą koszulkę z krótkim rękawem i czarny wełniany golf. Wpuścił koszulkę w spodnie, ściskając je szerokim skórzanym pasem. Zamknął skrzypiące na zawiasach boczne drzwi szafy i pociągnął za klucz sąsiednie, otwierając na oścież szeroki mebel. Nachylił się i wyciągnął z ciemnego wnętrza grube wełniane skarpety i wysokie skórzane buty z grubą podeszwą. Po tym wszystkim usiadł na małym, drewnianym krzeselku, wkładając na stopy grube skarpety i sznurując w szybkim tempie buty. Przyglądał się swoim przybrudzonym glanom, na których były grudy zaschniętego błota. Jednak odpuścił sobie czyszczenie i szybko wstał i ściągnął z wieszaka jasną puchową kurtkę, którą w mgnieniu oka włożył na siebie, zasuwając ją błyskawicznym zamkiem pod szyję. Zamknął z trzaskiem podwójne drzwi trzydrzwiowej szafy, dopychając butem dolną krawędź i podszedł do wiszącego obok lustra. Tuż przy ogromnym zwierciadle z rzeźbionymi ramami na drewnianym haku wisiał dwumetrowy, szeroki szalik z czarnej wełny. Przerzucił go przez szyję, obwijając się podwójnie. Przez ten czas rozglądał się dookoła, poszukując wzrokiem czapki. Dojrzał ją wreszcie, leżącą przy drzwiach wejściowych. Była to wełniana, czarna czapka, ze śladami zaschniętych kropek błota. Podniósł ją, uderzył kilkakrotnie o kolano, po czym nałożył na głowę i podszedł z powrotem do lustra. Spojrzał na swoje odbicie, mrugając do siebie okiem i wyszedł ze swojego mieszkania, trzaskając za sobą drzwiami. Zbiegł szybko po stopniach klatki schodowej i wybiegł na ośnieżony chodnik. Skręcając w prawą stronę poślizgnął się i zatoczył, lekko tracąc równowagę, ale jednak zdołał się utrzymać na nogach i pobiegł dalej wzdłuż sześcioklatkowego bloku.

W odległości około dziesięciu metrów od wielkopłytowego budynku znajdował się ów sklep, do którego skierował swojego gościa ze szczurzą twarzą.

Dobiegł do jednopiętrowego budynku, przed którym stał rozłożony basen z wigilijnymi karpiami. Tuż przy zbiorniku stała kil-

kuosobowa kolejka, a w niedalekiej odległości od niej był również poszukiwany nieznajomy, w towarzystwie starego człowieka, poszkodowanego kilka minut wcześniej przez trzech nastolatków.

Donald popatrzył na nich, z ulgą, że znalazł bez kłopotu „szczurzą twarz”. Wzrok machinalnie przerzucił następnie na basen i zaczął się po chwili głośno śmiać. Przypomniawszy sobie, jak kilkanaście lat temu, wraz ze swoimi kolegami, Darbim i Centem, wrzucili do podobnego zbiornika sporą zawartość proszku do prania, z dodatkiem kilkunastu mydeł. Środki chemiczne w tamtych czasach, zresztą jak wszystko oprócz soli i octu, były towarem deficytowym. Każdy z trójki młodych ludzi naruszył domowe zasoby tych artykułów. Największy wkład w to przedsięwzięcie miał Cent, który uszczuplił zapasy w swoim domu, jak i w domu swojej niani. Przed oczami miał teraz widok brudnej, spienionej wody i pływające po powierzchni śnięte, zdychające ryby.

Donald ubawiony wspomnieniem z dzieciństwa, podszedł do basenu, spoglądając na pływające w nim ryby, po czym przeniósł wzrok na stojących nieopodal dwóch mężczyzn, stojących nieruchomo i patrzących mu prosto w oczy.

– Co tutaj robisz? — odezwał się Donald do poszukiwanego nieznajomego, nie zwracając uwagi na stojącego z nim człowieka.
– Czyżbyś może zapomniał, gdzie mieszkam? Chyba że teraz będziesz popijał sobie z tym starcem i jemu zawracał głowę swoimi dyrdymałami! – mówiąc to, cały czas czuł wbijający się wzrok ich obu.

Patrzyli, stojąc nieruchomo, na Donalda, który uśmiechał się nieznacznie, choć widać było, że ta sytuacja wcale go nie śmieszy.

– Nie zapomniałem – odpowiedział mu poszukiwany, cały czas wbijając w niego nieruchomy wzrok. – Próbuję tylko sobie wyobrazić minę człowieka, jego zdziwienie, frustrację i załamanie tym, jak ujrzał pieniącą się wodę i ryby wypływające na powierzchnię do góry brzuchem. – Popatrzył na Donalda z politowaniem i pogardą.
– I jednocześnie ty z politowaniem, smutkiem, złością, irytacją i nie wiem, z jakim jeszcze uczuciem patrzyłeś na trzech wyrostków, którzy, obrzucili zniedołężniałego starca śnieżkami. Uważasz pewnie,

że to, co ty zrobiłeś wspólnie ze swoimi kolegami kilkanaście lat temu, było zabawne i nieszkodliwe!?

Donalda zamurowało. Stał jak wryty, nie wiedząc, co o tym powiedzieć. Wreszcie po kilku sekundach odezwał się drżącym głosem.

– Ty rzeczywiście czytasz w moich myślach!

– Nie muszę nic nigdzie czytać, wiem dużo więcej, niż myślisz. Mówiąc to, wypchnął przed siebie stojącego obok starca. – Spójrz na niego – powiedział uśmiechając się z lekka. – Tak będziesz wyglądał już niedługo. Może za dziesięć, a może już za pięć lat. Czas szybko mija, a ty, jeżeli nadal będziesz zdecydowany wciąż chwiejnie stąpać po ziemi, osiągniesz jego podobieństwo szybciej, niż myślisz.

Zaskoczony tym wszystkim, co działo się w tak krótkim czasie, Donald spojrzął na starca, przyglądając mu się uważnie, od stóp po głowę. Odległość, jaka ich dzieliła, nie przekraczała jednego metra. Patrząc na niego, zbladł. Miał wrażenie, że stoi przed lustrem i wpatruje się w swoje odbicie. Pofałdowana skóra na twarzy, pełna zmarszczek i zadrapań. Podkrążone, przekrwione oczy patrzyły na niego bez emocji. Siny nos, popękane, napuchnięte wargi i ten okropny uśmiech bezzębnych dziąseł. To było okropne uczucie, patrzenie na tego człowieka, który w tym momencie wydawał się własnym odbiciem niedalekiej przyszłości.

Po chwili ohydny, budzący odrazę zgarbiony starzec wyciągnął na powitanie przemrożoną i brudną rękę. Donald po krótkim zastanowieniu podał mu swoją dłoń. W ułamku sekundy poczuł, jak po całym ciele przechodzą mu dreszcze. Zapach kilkudniowego potu, zmieszany z wyziewami taniego alkoholu, jaki unosił się wokół starca, podrażnił jego żołądek. Po raz kolejny w dzisiejszym dniu poczuł na podniebieniu napływającą gęstą ślinę o słodko-gorzkim smaku. W tej samej chwili jego wnętrzości zaczęły zachowywać się jak rozpedzony wirnik pralki automatycznej. Poczuł w głowie wzmagające się dudnienie, tym razem przypominające prace młota pneumatycznego. Przed oczami świat zaczął mu wirować. Widział nieznanne twarze, wpatrzone w niego wściekle. Jego nogi zmiękły,

zataczał się, krążąc wokół własnej osi. Wreszcie zatrzymał się tuż przy basenie z karpiami i zwymiotował wprost do niego.

Dalszy rozwój wypadków odbył się poza jego świadomością. Upadł na ziemię bezwładnie, rozganiając i tak niewielką kolejkę.

Otworzył oczy i zobaczył znajomy sufit w swoim mieszkaniu. Minęło około pół minuty, zanim dotarło do niego, gdzie jest i dlaczego leży w łóżku. Uniósł głowę i spojrzał na siedzącego w fotelu człowieka ze szczurzą twarzą. Usiadł na łóżku, cały czas nie spuszczać wzroku z dziwnego osobnika, którego twarz coraz bardziej przypominała gryzonia. Nie mógł dłużej na niego patrzeć, odwrócił głowę, kierując wzrok na półlitrową butelkę, stojącą na niskiej ławie. Patrzył na jej dziwną etykietę, której kształt odzwierciedlał zarys żółwiej skorupy, w mieniących się różnobarwnych kolorach. Barwy nachodziły na siebie, ale nie było na niej żadnego napisu.

Po jakimś czasie Donald doszedł wreszcie do siebie, odzyskując pełnię siły fizycznej, jeżeli tak w ogóle można powiedzieć o człowieku, którego organizm przez ostatnie kilkadziesiąt godzin nie przyjmował nic poza wysokoprocentowymi płynami, nie licząc dzisiejszej jajecznicy.

Wstał z łóżka, łapiąc głębokie oddechy i usiadł na wolnym fotelu naprzeciw swojego gościa. Sięgnął po leżącą obok łóżka puchawą kurtkę, z której wyciągnął paczkę czerwonych marlboro. Wyjął z niej papierosa, wkładając drżącą ręką do ust jego końcówkę, odrzucił paczkę z papierosami na blat stołu, z którego wziął pudełko zapalek. Jego ręce nieustannie dygotały. Jednak nie na tyle, by nie móc sobie odpalić papierosa. Kilkakrotnie zaciągnął się dymem, nie wyciągając z ust papierosa, po czym zgasił go, wbijając mocno w pustą popielniczkę, leżącą tuż obok półlitrowej butelki.

Podniósł wreszcie wzrok, marszcząc przy tym czoło i krzyknął:

– Co się tutaj, kurwa, dzieje!?! Kim jesteś, skurwysynu!?! Wyjaśnij mi, co ty kombinujesz? Wyjaśnij mi to!!!

– Po prostu straciłeś przytomność – odpowiedział mu łagodnym i wyważonym głosem. – Było spore zamieszanie, ale na szczęście obyło się bez przyjazdu karetki pogotowia i policyjnego radiowozu. Za zanieczyszczenie basenu z karpiami i poniesione przez ten

incydent straty zapłaciłem z naddatkiem. Hodowca karpów kłaniał mi się w pas na widok zaproponowanej mu gotówki, pomógł mi cię dotransportować do twojego mieszkania.

– Co się dzieje, powiedz mi. Proszę? – spytał tym razem już łagodnym głosem. – Dlaczego do mnie przyszedłeś? – powiedział niemal płacząco.

– Moje przyście do ciebie wiąże się z szansą innego spojrzenia przez ciebie na to, co się wokół ciebie dzieje i być może będzie dzieło. Będziesz mógł skorzystać z szansy spojrzenia, dotknięcia, poczucia i przeżycia doznań, jakie mają tylko nieliczni ludzie na świecie. To, jak tę szansę wykorzystasz – i czy w ogóle z niej skorzystasz – zależy tylko i wyłącznie od ciebie. Co z tym zrobisz i czy będziesz w stanie po dzisiejszym dniu stąpać dalej po ziemi, spotykać się z ludźmi i móc na siebie spojrzeć w lustrze, tego niestety nie wiem. Wiem za to, co czeka cię w najbliższej przyszłości w moim towarzystwie.

Zrobił krótką pauzę, spoglądając na półlitrową butelkę, po czym z powrotem spojrział prosto w oczy Donalda, mówiąc dalej:

– Może się to źle skończyć, więc ostrzegam. Jeżeli powiesz mi teraz: „Wyjdz!” to wyjdę i w ciągu godziny zapomnisz o naszym spotkaniu i tym, co się tutaj dzieło. Więc zastanów się, byle szybko, bo brak odpowiedzi potraktuję jako aprobatę.

Donald nie miał zamiaru się długo zastanawiać i pocierając dłońmi o sztruksowy materiał swoich spodni, powiedział:

– W swoim życiu miałem wiele szans, z których wykorzystałem tylko nieliczne. To, co mi proponujesz, jest w dalszym ciągu bardzo tajemnicze, ale na tyle dziwne i nieprawdopodobnie nieprawdopodobne, że twoje towarzystwo na dzisiejszy dzień jest dla mnie wyzwaniem, z którym chcę się zmierzyć. Zresztą cóż mam do stracenia, wylali mnie z pracy, od dwóch miesięcy nie płacę za telefon, lada chwila odetną mi prąd, a najpóźniej na wiosnę pewnie eksmitują mnie na bruk.

Wziął głęboki oddech, patrząc na leżące przed nim papierosy, jednak nie sięgnął po kolejnego.

Nieznajomy spojrział na niego wzrokiem, który był z jednej strony aprobatą i pochwałą podjętej decyzji, z drugiej zaś strony

wyrażał potępienie i jednocześnie zdziwienie. Po czym powiedział z kamienną twarzą:

– Ta butelka zawiera pół litra dobrze znanego ci płynu. – Wskazał palcem omawianą butelkę. Będziemy pili w pięćdziesięciogramowych kieliszkach, a to znaczy, że czeka nas pięć kolejek, podczas których znajdziemy się w innym wymiarze czasowym. Czyli jak łatwo policzyć, mamy do odwiedzenia pięć różnych wymiarów. Jesteś gotowy?

– Tak! – powiedział podniesionym, ale i drżącym głosem Donald. – Choć nadal nic z tego nie rozumiem, to dłużej i tak nie wytrzymam tej wciąż narastającej psychozy. Powiedz mi tylko, zanim to wszystko się zacznie, jak się nazywasz, bo nie lubię jednak pić z nieznanym.

Mówiąc to, wysilił się na uśmiech, który jednak wykrzywił tylko jego twarz.

– Nazywam się Maksymilian Rat i urodziłem się dokładnie w tym samym czasie co ty.

Donald nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić, cały czas łudził się, że to wszystko, co się wokół niego dzieje, jest jednak sennym koszmarem i wreszcie się w pewnym momencie obudzi. Lecz z drugiej strony zdawał już sobie sprawę, że to jednak nie było snem i dotarło to już do niego. Patrzył na Maksymiliana i po całym ciele przechodziły mu dreszcze, gdy ten, tym samym ruchem doświadczonego barmana, napełniał przezroczytym płynem kieliszki.

Rat podniósł ze stołu oba i jeden z nich podał Donaldowi, unosząc jednocześnie swój kieliszek do ust, zarazem energicznie go przechylając. Donald nie zastanawiając się długo, zrobił to samo i zaraz poczuł we wnętrzu swojego ciała rozlewający się mocą wodospadu po jego żyłach rozgrzewający płyn, który wywoływał w nim niesamowity dreszczyk emocji. Coś takiego poczuł pierwszy raz w życiu. Było to coś niesamowicie trudnego do opisania słowami. Najdziwniejsze uczucie, jakiego doznał w życiu.